Rok I. Nr. 10
1 Października 1913 r.

HUMANISTA POLSKI

miesięcznik

Redaktor i Wydawca Aleksander Świętochowski

Treść numeru: Odezwa arcybiskupa, — Zmniejszenie Królestwa Polskiego. — Polityka, — Po drodze. — Utrwalanie żydów. — Książe Józef Poniatowski. — Nowe książki. — O kasy chorych. — Głosy. — Kronika powszechna. — Zmarli.

ODEZWA ARCYBISKUPA.

Stało się to niemal obowiązkiem każdego dostojnika zapewniać w swych przemowach publicznych, że będzie się wzorował na poprzedniku i dalej prowadził jego robotę. Tak postąpił również nowy arcybiskup warszawski. Chociaż jego odezwa może być tłomaczona rozmaicie i chociaż nigdy nie można ręczyć, że władzca będzie takim samym, gdy posiedzi na tronie, jak wtedy, kiedy na nim usiadł, zdaje się jednak, że w tej chwili pomiędzy zmarłym ks. Popielem a następującym po nim ks. Kakowskim zarysowała się dość wyraźna różnica . Pierwszy był głową nieprzejednanych tercyarzów, drugi chce być apostołem miłości i obywatelem kraju. Niestety, ta miłość i to obywatelstwo mają zwykle w słowniku klerykalnym swoje osobliwe znaczenie. „Jeśli mnie pytacie—mówi nowy arcybiskup—pod jakim stoję sztandarem, odpowiadam wam śmiało i jasno: stoję pod sztandarem Chrystusa, programem moim Jego Ewangelia. Przychodzę do was z miłością na ustach i w sercu. Przychodzę posłany od tego, który prawo miłości ogłosił jako pierwsze i najważniejsze przykazanie; przeto i w duszy mojej niema ani goryczy, ani uprzedzenia“. Pragnęlibyśmy, ażeby tak było istotnie, ale gdyby tak być miało, w takim razie należałoby nie iść śladami poprzednika i odwołać wszystkie klątwy, które on rzucił a co najmniej ich nie podtrzymywać i nie powtarzać. Nie jest w zgodzie z ewangelią i najważniejszem przykazaniem Chrystusa o „wzajemnem miłowaniu się“, ażeby odmawiać posług religijnych i rozgrzeszeń tym wszystkim, którzy się uczą w szkołach, niepozostających pod zwierzchnictwem księży, którzy czytają pisma i książki, nienaruszające dogmatu wiary, ale odsłaniające złą wolę

duchowieństwa. Nowemu kierownikowi archidyecyzyi powinno być wiadomo, że biskupi polscy z arcybiskupem na czele podjęli krucyatę przeciwko wszelkim pracom i instytucyom społecznym, pragnącym zachować wyłącznie świecki charakter, że poduszczeni przez nich, księża sieją nienawiść, wywołują zamęt w stosunkach, nadużywają konfesyonału i ambony, prowadzą walkę dziką, ohydną, pozbawioną wszelkich pobudek moralnych. Jeżeli zaś on wie o tem, jakże pogodzi takie rozpasanie tercyaryzmu z godłem tego sztandaru, pod którym stanął? „Jnstaurare omnia in Christo—odnowić wszystko w Chrystusie" —powtarza za Piusem X arcykapłan Warszawski. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu zadaniu, gdyby ono od góry do dołu hierarchii kleru nie była wierutnem kłamstwem. W rzeczywistości to nie jest hasło ani papieża, ani pasterzy jego owczarni, ale ich przeciwników. Bo czego głównie domagają się walczący z fanatycznem, nietolerancyjnem, nieuczciwem i samolubnem duchowieństwem? „Odnowić wszystko w Chrystusie"—to znaczy: nie wyklinać, prześladować, złorzeczyć i potępiać, ale miłować, służyć, pomagać, przebaczać. Są to objawy codzienne i występujące na całej przestrzeni kraju. Rozpasanie potwornego języka u fanatyków, „odnawiających wszystko w Chrystusie", doszło już tak daleko, że wywołuje zgrozę nawet w duszach religijnych. Niedawno osiągnął taki efekt jeden z biskupów, który, odrywając ludzi od pracy w czasie najpilniejszych robót w polu dla tworzenia sobie orszaków w wędrówce po dyecezyi, zakazywał wiernym czytania książek, nawet rolniczych, gdyż one są pisane „przeważnie przez pijaków„. Co by na taką „miłość" powiedział Chrystus, zwłaszcza gdyby widział, że podczas uroczystej mowy po kościele uwija się przekupień i sprzedaje karmelki „konfektnoj fabriki"?

Nowy arcybiskup nie radzi księżom zamknięcia się w sferze religijnej, lecz zaleca „im iść na rozstania dróg", czyli na pole pracy społecznej — „zakładać szkoły i ochronki, budować domy dla służby folwarcznej i robotników, słowem czynić sobie przyjaciół z mamony". Jeżeli na tę niwę mają wyjść księża Blizińscy z Liskowa—pozdrawiamy ich; ale jeżeli mają na niej się znaleźć szkodnicy, potwarcy i denuncyanci w sutanach, którzy „czynią sobie przyjaciół z mamony", obdzierając i ogłupiając lud a sieją miłość Chrystusową, budząc w nim nienawiść do wszystkich przedsiewzięć społecznych, opornych ich samowoli — to niech lepiej kręcą się fakirowskim ruchem w swem tercyarskiem kółku. Takich dobroczyńców społeczeństwo nie potrzebuje, bo im zawdzięcza swoją niedolę, swoją ciemnotę, swoją zgubę. Tory wewnętrznej polityki klerykalnej są u nas zbyt głęboko wyżłobione, ażeby bez natężenia wielkiej energii i dobrej woli można było z nich wykoleić się. To też przypuszczamy, że nowy arcybiskup powoli w nie wejdzie i rzeczywiście znajdzie się na drodze swego poprzednika. Tymczasem należy uznać w jego przemowie mocno zaznaczony ton patryotyzmu, którego od 50 lat nie słyszeliśmy z ust metropolity wyrszawskiego i który odbił się w opini bardzo sympatycznem echem. Bodajby ten ton i to echo brzmiały jak najdłużej, bodajbyśmy ciągle wiedzieli, że na stolicy arcybiskupiej siedzi prawdziwy apostoł Chrystosowy i prawdziwy polak.

Zmniejszenie Królestwa Polskiego.

Gdy Rosya w trzech podziałach Polski odcinała i zabierała jej części, miało to przynajmniej sens korzystnej zdobyczy. Ale dokonanie czwartego podziału przez oderwanie kawała ziemi polskiej, która wchodzi w skład państwa rosyjskiego i sztuczne przyczepienie jej wątłemi nićmi administracyjnemi do Cesarstwa nie da się niczem innem usprawiedliwić, tylko chęcią zaspokojenia wiecznie głodnych jakiejś zagłady pragnień agitatorów politycznych. Gubernia Chełmska nie była potrzebna ani narodowi, ani rządowi rosyjskiemu, była potrzebna pp. Bobryńskim, Elogiuszom i tp. Ten charakter tworu zrodzonego z nienawiści i gniewu nosić ona będzie ciągle, pomimo wszystkich biurokratycznych środków i sposobów. Jest to może najznamienniejsza i zarazem najujemniejsza cecha obecnej polityki wewnętrznej państwa rosyjskiego, że garść ludzi, znajdujących rozkosz w tępieniu, zuchwałych i krzykliwych, potrafi sterroryzować wszystkie organy życia politycznego, narzucić swą wolę opinii publicznej i rządowi, zmusić go do czynów sprawiających wiele bólu i szkody, a nieprzynoszących nikomu żadnej trwałej korzyści. W taki sposób powstała gubernia Chełmska, która na wszystkich papierach urzędowych będzie odłączona od naszego kraju, a w rzeczywistości pozostanie, bo jest, polską. Co zrobiły miliony ludzi w ciągu wieków, tego nie unicestwi paru działaczów w ciągu roku. Chociaż polityka bywa zwykle trzeźwą, okrutną, zimną, ona ma także swoje naiwne rojenia, a ulega im zwłaszcza wtedy, kiedy myśli, że może w krematorium biurokratycznem spalić odrazu cały naród i urnę z jego popiołami wstawić do muzeum historyi.

POLITYKA.

Wątpimy, czy jest tak mądra istota, nawet śród „najlepiej poinformowanych", która mogłaby określić obecne stosunki polityczne na półwyspie Bałkańskim, zupełnie schaotyzowane i niedążące do żadnej trwałości. Pokój zawarty w Bukareszcie nie położył końca waśniom. Wkrótce ma być podpisany traktat turecko-bułgarski, ale tymczasem Serbia wojuje z Albanią a Turcya grozi Grecyi. Cały ten zamęt jest wyłącznie dziełem „zgody wielkich mocarstw". Gdyby one były rzeczywiście zgodne między sobą, gdyby się nie wtrącały do walki, gdyby intrygami nie podniecały zapaśników, ci ostatni doszliby już dawno do jakiegoś porozumienia. Obłudni opiekunowie i poręczyciele pokoju europejskiego jawnie zażegnywają burzę, a tajemnie ją sieją.

Zjazd socyalistów niemieckich w Jenie skasował polską grupę w Poznańskiem. Kosztowała ona bowiem kasę partyjną bardzo dużo a przynosiła pociechy bardzo mało. Grunt polski w Prusach zanadto jest owładnięty walką polityczną, ażeby on mógł dostarczyć szerokiego pola walce społecznej. Tam socyalizm był zawsze płonką wątłą i żyjącą tylko dzięki bardzo forsownym staraniom. Zjawisko to jest bardzo naturalne i oddawna nam znane. Rozrost socyalizmu na ziemiach polskich jest odwrotnie proporcyonalny do siły nacisku wynaradawiającego i długo jeszcze będzie on zdobywał znaczenie bądź awanturniczością, bądź ścisłym sojuszem z pokrewnemi partyami zewnątrz.

Po drodze.

Wyprzedaż ojczyzny. Socyalizm niemiecki na prawo, a nasz na lewo. Jak postępuje polski nacyonalizm. Ćwietkowski i S. Mendelson. Właściwa zasługa A. Wiślickiego.

Zmienia się tylko od czasu do czasu kierunek naszej gotowości do wyprzedania ojczyzny, ale sama dążność pozostaje stałą. Kiedy nam się już uprzykrzyło życie w nieza-

leżności i w posiadaniu własnego państwa, zaczęliśmy ofiarować kawałki Polski lub nawet całą do nabycia węgrom, czechom, szwedom, wreszcie—z powodzeniem—rossyanom i niemcom. Obecnie mamy szczerą chęć odstąpić ją w znacznej części żydom, nie tylko chęć, ale przymus. Nikomu obcemu nie przyszłoby na myśl radzić nam, ażebyśmy to uczynili, a tem mniej karcić nas, że tego nie czynimy. Ten obowiązek nałożyliśmy sobie—sami, uwierzywszy zapewnieniu wędrującego przez naszą ziemię żyda wiecznego tułacza, że broniąc jej od ściągających do nas ze wszystkich stron jego rodaków, tracimy prawo do nazwy narodu kulturalnego. Ażeby zaś ta utrata była bardziej uzasadniona, semicka Szecherezada włączyła do bajek z Tysiąca i jednej nocy opowieść, jak polacy zarzynają żydów na ulicach i pieką w oblanych naftą domach. Trudno, trzeba usłuchać probierczyków „kultury, postępu i humanizmu", którzy w swoim domu nie daliby kącika najbiedniejszemu pielgrzymowi, a którzy oddają kraj przybłędom i wrogom. Pozwól, naiwny polaczku, wmówić sobie najordynarniejsze głupstwa, z których wszędzie się śmieją, oprócz u ciebie; ulęknij się pogróżki, że Jankiel Symchowicz Kiszyniewer odbierze ci szlachectwo kultury, jeżeli mu odmówisz bezwzględnego i równouprawnionego obywatelstwa; bądź zakrzyczanym i zahukanym baranem, który powinien dostarczać mięsa i wełny, słuchać każdego pastucha i bać się każdego kundla. Powiedziano ci, że nie masz ojczyzny, nie masz woli, nie masz władzy w rozporządzaniu tą twoją ziemią, w którą wsiąkło tyle twojej krwi, ile kropel rosy — i ty wkońcu temu tak uwierzyłeś, że boisz się zamknąć drzwi przed natrętem, który je bezczelnie otwiera i wyważa. Nad temi drzwiami przybij tablicę z napisem: zupełna wyprzedaż Polski — i pozbądź się reszty dziedzictwa, której jeszcze nie zdążyłeś przemarnować.

W Jenie odbył się doroczny zjazd socyalistów niemieckich, na którym ogromną większością głosów zwyciężył kierunek umiarkowany (rewizyonizm). Wiadomo, że nasz socyalizm jest szczepem niemieckiego, ale jak w świecie roślin ich natura i rozwój zależą od gruntu i podkładki, tak i tu polska płonka odrodziła się od macierzystej. Ta ostatnia rozrosła się jako potężne i rozłożyste drzewo, tamta jest pokrzywionym i połamanym krzakiem. Podczas gdy socyalizm niemiecki coraz bardziej przysuwał się od krańcowego odchylenia ku środkowemu pionowi życia, polski coraz bardziej odsuwał się od tego pionu ku krańcowi. Tam on już dziś spółdziała z żywiołami burżuazyjnymi i broni urządzeń burżuazyjnych, tu przestrzega jeszcze „czystości poczucia klasowego", koszeru partyjnego, w imię którego zabrania robotnikowi dotykać a tem mniej spożywać czegokolwiek, co wyszło z trefnych rąk barżuazyi. Na kongresie w Jenie kierunek nieprzejednany reprezentowała żydówka warszawska, p. Róża Luxemburg. Wszystkie jej wnioski odrzucono, ale jej wyśmiane frazesy nie będą stracone, gdyż z pewnością zostaną przysłane do nas na użytek „lewicowców", którzy uspokoją nimi ciemne głowy zdurzonych „towarzyszów". Taki nasz los: podczas gdy cała Europa wstrząsa się, odradza i przeistacza radykalizmem ludzi poważnych i głębokich, do nas przywozi się lub wyrabia na miejscu radykalizm żaków i warchołów. Lata on wysoko i barwi się mocno, ale gdyby z niego wypuszczono lekkie gazy pustej frazeologii i smarkactwa, zostałoby tyle, co z przekłutego czerwonego balonika.

Pewien uczony, który w nauce zaznacza się głównie tem, że otrzymuje ciągle zapomogi z Kasy Mianowskiego na studya, których wyniku nie będziemy nigdy oglądać, stwierdził swą literacko-socyalistyczną logiką, że jesteśmy skrajnymi nacyonalistami. Jeżeli pod tem mianem rozumieć należy świadomą i nieświadomą odrazę do narodów obcych i bałwochwalstwo dla własnego, to chyba nie ma w Europie społeczeństwa mniej zasługującego na taką nazwę, niż nasze. My ze wszystkimi ludami umiemy żyć zgodnie a nawet przyjaźnie i trzeba z ich strony nadzwyczajnej dokuczliwości, ażebyśmy zdobyli się na postawę wrogą. Doświadczyli tego żydzi, doświadczyli niemcy i rosyanie. Wiadomo, jakim szacunkiem otaczano Starynkiewicza i Tołoczanowa. Przez pewien czas dyrektorem Szkoły Kupieckiej w Warszawie był — rosyanin Ćwietkowskij — człowiek bezskaźnie czysty, ogromnie dobry, do młodzieży serdecznie przywiązany. Kochała ona go też, gdy jej przewodniczył, posyłała mu ciągle pozdrowienia, gdy przeniósł się do Moskwy, czciła go do ostatnich chwil życia. Niedawno umarł a z piersi jego uczniów wydobyło się i popłynęło na jego mogiłę westchnienie głębokiego żalu. Tacy ludzie nie spotykają u nas nacyonalizmu

i nienawiści plemiennej, tacy ludzie nie należą do nierozwiązalnych kwestyj wrogiego spółżycia, które tylko oni rozwiązywać umieją. Kochajcie natomiast lub szanujcie takiego niedawno zmarłego S. Mendelsona! Ile jest form przemiany polityczno-społecznej, tyle on ich przybrał. Był socyalistą, anarchistą, konstytucyonalistą angielskim, liberałem, zachowawcą, patryotą polskim, nacyonalistą żydowskim i wrogiem polaków, a trudno było przewidzieć, czem jeszcze mógł zostać, gdyby dłużej pożył. Posiadał przytem wyjątkowy przywilej: podczas gdy najmniejszą zmianę zdania w sprawach praktycznych uważa się u nas — nie za odbicie zmiany rzeczy lub za korektę jej rozumienia, ale za „odstępstwo od sztandaru", temu akrobacie przebaczono wszystkie koziołki dlatego, że on miał je robić „w dobrej wierze". To „dobra wiara" towarzyszyła mu ciągle zarówno wtedy, kiedy przypinał sobie ryngraf polski, jak wtedy, kiedy przyczepiał gwiazdę syońską. I jakże za te liczne przedzierzgnięcia się i zniewagi, wyrządzone narodowi, pomścił się na nim okrutny „nacyonalizm" polski? Pozwolił mu się lżyć za życia i nie zelżył go po śmierci. Tak postępuje ze swoimi wrogami we własnym domu nasza „dzikość".

W niedostatecznem lub zupełnie błędnem oświetleniu złożony został do grobu człowiek, który przed 40 kilku laty odegrał ważną rolę jako redaktor pisma rewolucyonizującego opinię publiczną i wydawca dzieł postępowych. A. Wiślicki miał za małe wykształcenie i za krótki wzrok w ogarnięciu stosunków społecznych i umysłowych, ażeby mógł sam dokonać a nawet poprowadzić innych do dokonania tego przełomu, który się spełnił dzięki P r z e g l ą d o w i T y g o d n i o w e m u, ruchowi pozytywistycznemu i „młodej prasie". Zakładając swój tygodnik, wcale nie miał ani tak wielkich zamiarów, ani tak określonego kierunku, o czem świadczy dostatecznie to, że początkowo spółpracownikami tego organu byli pisarze konserwatywni i klerykalni. Dopiero gdy ze Szkoły Głównej wypłynęła fala nowych uzdolnień i idei, która prawie całkowicie wlała się w kolumny P r z e g l ą d u T y g o d n i o w e g o, gdy do pracy w nim stanął szereg ludzi młodych, ukształconych, utalentowanych, a tak idealnych i bezinteresownych, jakich już potem nigdy nie widziała prasa polska, stało się to pismo siłą burzącą i twórczą. A. Wiślicki został podniesiony przez ową falę — to nadawało mu rozgłos; tym dzielnym bojownikom i marzycielom dał pole do walki i zapewnił im zupełną swobodę — i to właśnie stanowi główną jego zasługę. On nie stworzył chwili historycznej, ale ułatwił zadanie tym, którzy ją stworzyli. To na ozdobę jego pamięci wystarczy.

H. D.

Utrwalanie żydów.

Swojego czasu zrobiliśmy szczegółowy obrachunek żydów w Królestwie Polskiem, wykazawszy cyfrowo, że nigdzie w Europie nie ma tak wielkiego ich skupienia, jak w naszym kraju, że są u nas małe mieściny, które liczą ich więcej, niż całe państwa. Wobec tej olbrzymiej, pzzeważnie obcej i wrogiej masy, wobec której stoimy bezsilni, nie mając żadnego środka ani zasymilowania, ani zatamowania jej przyrostu, kwestya żydowska stała się dla nas przedewszystkiem ilościową. Jakiekolwiek prawo do bytu i jakąkolwiek wartość ekonomiczną, posiada ten żywioł dla nas, jest on napływem zbyt wielkim, którego my wessać nie możemy, który nas zatapia, niszczy i grozi zagładą. To też za pożądane uznać możemy tylko te zamiary i czyny, które otwierają ujście temu zalewowi. Takiem ujściem może być jedynie emigracya. Żadna inna droga nie doprowadzi do rozwiązania kwestyi żydowskiej a nawet do złagodzenia coraz bardziej zaostrzających się stosunków. Płytka paplanina wojującego lub elegizującego Izraela ciągle przedstawia obecny zwrot przeciw żydom jako prąd powierzchowny, jako robotę agitatorską, jako „zoologiczny antisemityzm", podczas gdy to jest bardzo głęboki i szeroki ruch narodu, ratującego się od ciężkiej choroby i śmierci. Tego ruchu nie powstrzyma ani sentymentalna frazeologia, ani oszczerstwa, ani starania u władzy o zakazy. [1])

---

[1]) G a z e t a p o r a n n a — 2 g r o s z e twierdzi, że „prawis wszystkie organy władzy rządowej są obecnie zawalone skargami żydowskiemi" i przytacza jakich represalij żądają względem pewnych wydawnictw i osób.

Tymczasem żydo-polacy, przedziergnięci z polaków wyznania mojżeszowego, zamiast zwrócić wszystkie swe zabiegi ku poparciu emigracyi, rozmyślają nad sposobami zatrzymania i utrwalenia nadmiernej masy żydowskiej, która ich wcale nie przeraża swą ilością. Między innymi podjęto projekt pchnięcia żydów na rolę. Doświadczenia historyi wszystkich narodów i nasze własne, które nam pokazały, jak żydzi, obdarowani ziemią we wsiach, szybko ją wyprzedali lub wydzierżawili i uciekli do miasteczek; ich nawet największą nędzą niepokonany wstręt do pracy rolnej, którego nie złamie żaden frazes; najsmutniejsze rezultaty poczynionych prób usuwają wszelką wątpliwość co do naiwności tego pomysłu. My też nie będziemy zastanawiali się nad nim dłużej i z pewnością wkrótce zniknie on z dyskusyi poważnej. Zaznaczyliśmy go tylko dla stwierdzenia, jak przewodnicy narodu żydowskiego chwytają się najfantastyczniejszych rozwiązań nieszczęsnej kwestyi, aby go zatrzymać na ziemi polskiej i jak ich myśl unika tych środków, które mogłyby go uszczuplić i gdzieindziej przesunąć. Jest to u jednych świadome, u drugich może bezwiedne staranie się o wytworzenie i zorganizowanie społeczeństwa żydowskiego w większej masie i na stałym gruncie. Tym gruntem ma być Polska w zaborze rosyjskim i austryackim. Jeżeli kiedykolwiek można było mieć pod tym względem jakąś niepewność, to dziś znikła ona zupełnie, gdy żydo-polacy napadają w sposób brutalny i źle maskujący ich rozjątrzenie wszystkich publicystów polskich, którzy nie odmawiając praw obywatelskich żydom zasymilowanym lub nawet tylko szczerze przywiązanym do kraju, występują przeciwko wrogim przybyszom i przeciwko duszącemu nas najazdowi. Ci obłudnicy zachowują w słowach różniczkowanie, a w czynach — całkowitą solidarność ze swymi spółplemieńcami. Dzięki temu kwestya litwacka lub rosyjsko-żydowska zginęła, pozostała tylko ogólnie żydowska.

Pamiętając o tem i nie spuszczając z uwagi zabiegów i robót szczerego i nieszczerego syonizmu, powinniśmy jednocześnie strzedz się tak bezmyślnych i szkodliwych murków separatystycznych, jak zamykanie drzwi szkoły polskiej przed żydówkami, pragnącemi w niej się kształcić. Nie można prowadzić szlachetnej walki obronnej pod hasłem odpowiedniem dla fanatyzowanego motłochu. Jeżeli żydzi chcą przyjmować kulturę polską, powinniśmy im otworzyć w niczem nieograniczony przystęp do wszystkich jej ognisk. To będzie postępowanie ludzkie i polskie. Natomiast wszelki herodyzm jest nierozumny i nieuczciwy.

Książę Józef Poniatowski.

(Według monografii S. Askenazego).

Zbliża się setna rocznica jego zgonu. Dnia 19 października 1813 r. poniósł śmierć bohaterską w nurtach Elstery. Szlachetna, rycerska jego dusza była"— jak powiedział Szymon Askenazy w pięknie napisanem o nim dziele — „wcieleniem najrdzenniejszych, nieśmiertelnych czynników swojej narodowości i został nietylko jednym z najświetniejszych, lecz z najbardziej swojskich, najbardziej polskich jej przedstawicieli". Dlatego pamięci jego nie przestanie otaczać zawsze gorące uczucie miłości i chluby, pomimo że był synem zbrodniczo w dziejach Polski zapisanego rodu. Ofiarą, cierpieniem, służbą wierną i nieskalaną wyniósł się wysoko ponad swoje pochodzenie w oczach narodu i obok przywiązanie zyskał jego szacunek.

Z dziedzictwa krwi wziął tylko, co lepsze: po zniemczałym ojcu, młodszym bracie Stanisława Augusta — odwagę osobistą, po dziadzie, towarzyszu broni Karola Szwedzkiego — wspaniałą postawę i animusz rycerski, po babce, Czartoryskiej z domu — poczucie pańskiej godności i obowiązków obywatelskich; wszystko, co gorsze, odrzucił. „Jeżeli — mówi Askenazy—z pominięciem drugorzędnych rysów prywatnych rozpatrywać będziemy dominujące linie tej szlachetnej postaci, rozważanej jako zjawisko dziejowe a odbijającej tak silnie od najbliższego środowiska rodzinnego, chciałoby się rzec z Tacytem: *Curtius Rufus videtur, mihi ex se natus*. Zapewne, był on istotnie więcej „z siebie zrodzony", lecz przedewszystkiem był już z tej młodszej generacyi narodowej, nieodrodnym tworem swego własnego społeczeństwa, jednym z wielkich, ży-

wych świadectw dokonywanej w niem naprawy i odnowy wewnętrznej, wiodącej je od zmierzchów XVIII do świtań XIX stulecia".

Urodzony i wychowany w Wiedniu, pozostał jednak nawskroś polakiem. To zawdzięcza czujnej i troskliwej opiece stryja, króla Stanisława Augusta, który od dziesiątego roku jego życia, od chwili, kiedy mu umarł ojciec, zajmował się pilnie, w najdrobniejszych szczegółach wychowaniem młodego chłopca. Lecz i to było w rękach cudzoziemców i tylko dzięki otoczeniu, śród którego znajdowali się polacy, nauczył się książę dobrze mówić i jędrnie, choć niebardzo poprawnie pisać po polsku. O polskość jego uczuć sam Król dbał nadewszystko: o Polsce mu wciąż prawił, do Polski sprowadzał, zaustryaczyć się nie pozwalał. Kochał go przywiązaniem wyjątkowem, niesłabnącem, z biegiem lat coraz żywszem. „Kochał w nim nietylko krew swoją, ale samego siebie takim, jakim chciałby być a nie został". I on wchodził w życie młody, piękny, ubóstwiany, ale nie był nigdy takim, jak jego synowiec: szlachetnym, rycerskim, ofiarnym czystym. Widział w nim — jak to trafnie określił Askenazy — „połączenie swoich błyskotliwych zalet i nieodżałowanych braków; kochał tego niedościgłego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego nigdy sam posiąść nie umiał i ten honor, który sam utracił". Ale słaby do końca, usiłował nieraz zasłaniać się osobą księcia i kazał mu drogo płacić za swoje przywiązanie i dobrodziejstwa.

Materyalnie Książę Józef wszystko mu zawdzięczał, gdyż po ojcu prawie żadnego nie odziedziczył majątku; ta zależność, oraz wynikające z niej zobowiązania moralne, ciężko się odbiły na jego życiu.

Nie zdołały jednak nigdy sprowadzić go z drogi czci i sumienia. Na tym punkcie pozostał zawsze niezłomny, bez wahań, bez ustępstw, bez względu na jakiekolwiek korzyści. Takim był przez całe życie, do ostatniej chwili, kiedy wolał „mężnie umrzeć", niż poddać się wrogowi.

„Bardzo żywy, bardzo prosty, nieraz szalenie wesoły, naprawdę przecie uczuciowiec, nerwowiec, napozór tylko sangwinik, w gruncie nawet trochę melancholik, jakkolwiek doskonale zbudowany i krwisty, miał temperament nadmiernie wrażliwy, subtylizujący, łatwo podlegający czarnowidztwu, niebronny przeciw głębokiej depresyi duchowej i pognębieniu myśli i woli".—Natura wyposażona bogato, lecz w danych warunkach z wielkich skarbów ducha i serca najpełniejszym strumieniem spłynąć miały dla niej smutek i cierpienie.

W pierwszych latach wieku młodzieńczego, na służbie w wojsku austryackiem spędzał wiele czasu w Wiedniu, w zamkniętem kółku t. zw. „nierozłącznych" osób „młodych, wykwintnych, czułych, złożonem z dwóch tylko mężczyzn: ks. Józefa i ks. de Ligne oraz kilku niepospolitych kobiet". W jednej z nich młodej pannie Karolinie Thun kochał się książe gorącą, czystą i, zdaje się, jedyną prawdziwą miłością. Bawiono się w tem kółku wesoło, muzykowano, czytano Szekspira. Książę Józef, grał biegle na klawikordzie i w późniejszych latach zawsze miał z sobą w namiocie szpinecik obozowy.

Pierwszą swoją kampanię bojową odbył w 1788 r. pod bokiem cesarza Józefa jako, jego adjutant; i zaraz na wstępie, przy oblężeniu twierdzy tureckiej Sabacza, został ciężko ranny przy szturmie i ledwie uratowany przez prostego szeregowca, zaufanego potem sługę kroata Körnera.

Lecz wprędce naród upomniał się o niego. Uchwała Wielkiego Sejmu o wojsku stutysięcznem spowodowała wezwanie oficerów rodaków z obcych służb. Rodzina miała też inne widoki na niego. Krępowały one i boleśnie rozżalały księcia; z tej racyi pisał do starszej siostry, już wówczas zamężnej za Tyszkiewiczem: „Czyliż dlatego, że nie posiadam nic, że żywię gorące i serdeczne uczucie wdzięczności dla króla za jego tkliwość i dobrodziejstwa, że jestem z należnym respektem dla mojej rodziny, winienem zostać jej ofiarą?... Sądzę — dodaje dalej — że tyle tylko winienem mojej rodzinie, by być człowiekiem poczciwym, dobrym, walecznym i lojalnym; widoki ambicyi i polityki są nazbyt dla mnie wysokie". I skarży się, że mu życie ciąży wobec tyrańskich ofiar, jakich wymagają od niego. Młodemu sercu marzyły się rozkosze cichego raju szczęścia osobistego przy boku ukochanej kobiety. Lecz jednocześnie odzywały się w nim inne głosy, nawołujące do tej ofiary w imię wyższych przeznaczeń: „gdybym mógł przez swoje wiadomości wojskowe być w czemkolwiek użyteczny ojczyźnie, gdybym z narażeniem życia mógł zachować jej prawa i przy-

wileje — wtedy nie chcę spoczynku, pogody, wszystko poświęcę".

I uczynił to bez wahania: na wezwanie Sejmu podał się natychmiast do dymisyi w wojsku austryackiem i pospieszył do szeregów gromadzącej się armii krajowej. Tu od razu stanął na wysokiem stanowisku odpowiedzialnego wodza i dostał się w zatrutą i niebezpieczną atmosferę towarzyskiego życia Warszawy. Bezbronny w swej młodości, zmienił się szybko, wypiękniał, dojrzał i zmężniał fizycznie, lecz rozwichrzył się i popuścił sobie wodze: „starły się puchy sentymentu marzycielskiego a rozbujał się temperament ziemski". Życie obozowe ujarzmiało i gasiło pożary krwi. Utajone wyższe uzdolnienie militarne z biegiem czasu miało rozwinąć się i dorosnąć do najtrudniejszych wymagań strategii napoleońskiej. Talentom wojskowym Poniatowskiego dał świadectwo nietylko Napoleon na św. Helenie, lecz i marszałek Davout, który pomimo pierwotnych uprzedzeń doszedł w końcu do przeświadczenia, że ks. Józef więcej, niż którykolwiek z generałów polskich, nie wyłączając Dąbrowskiego, posiadł w sobie materyału na wodza naczelnego. Pod tym względem nieraz w sądach od swoich działa mu się krzywda.

Lecz nie o to nam teraz idzie, nie o podniesienie i oczyszczenie sławy jego wojskowej — w ks. Józefie obchodzi nas dziś nadewszystko człowiek i obywatel. Bo i tu, jak na innych polach, złość i zawiść usiłowały przyćmić lub nawet całkiem zgasić jasny blask czystej jego duszy. Zarozumiałości, ani pychy nie było w nim żadnej, choć chciano niemi objaśnić niedość zażyły stosunek jego z Kościuszką w czasie wspólnej służby w 1790 i 91 r. Sam on czuł najlepiej swoje braki i latem 1790 r. pisał królowi: „Nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapełnienie tak ważnego miejsca... Nie łudzę się wcale pod tym względem i z drżeniem czuję jak wielkie zobowiązanie mam spełnić; oby okoliczności nie sprawdziły obaw moich. Użyję wszelkich sił, aby rzeczy szły najmniej źle, ale aby one szły dobrze, na to trzeba ludzi innej miary, niż ja jestem".

Ta skromność, wrodzona cecha wysoce szlachetnej i wykwintnej natury, nie odstępowała go przez całe życie, a często łączyła się z tak małem rozumieniem o sobie, które graniczyło z zupełnym już prawie brakiem ufności we własne siły, z zapoznaniem swej rzeczywistej wartości. Wysokie były ideały księcia, więc też ziemskie ich wcielenie nigdy do miary uczuć jego i myśli dostać nie mogło. W raportach, pisanych do króla, stale o sobie przemilczał, podnosząc tylko zasługi Kościuszki, Mokronowskiego, Wielhorskiego. I takim do końca pozostał: robił co mógł, narażał życie zawsze i wszędzie, ale zasług swoich nie wystawiał, po nagrodę ręki nie wyciągał, przeciwnie usuwał się i krył, pozwalając innym korzystać.

Cel osobisty dla niego zdawał się nie istnieć, w każdym wypadku szedł za nakazem sumienia narodowego i godności człowieka — a błędy jego wynikały najczęściej z dobroci i ludzkości serca. Śród niepomyślnych okoliczności tej pierwszej kampanii nie szczędzono mu goryczy niesprawiedliwych podejrzeń, niesłusznych, niewyrozumiałych oskarżeń. Wtedy to, prawie w przededniu przeczuwanego rozwiązania, wyraził w liście do króla, pisanym w lipcu 1792 r., zgoła nieoczekiwaną myśl: „Gdyby W. K. M, na początku tej kampanii, ponieważ ona nie była przygotowana we względzie militarnym, był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albo byśmy zginęli byli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem".

Gdy następnie otrzymał od księżnej Czartoryskiej zawiadomienie o przystąpieniu króla do Targowicy: „Na wszystko byłem przygotowany, — odpisał — lecz nie na podobną nikczemność"... Targany rozterką między żądaniem wojska, ażeby króla, choćby gwałtem sprowadzić do obozu, a zaklęciami Stanisława by go nie gubił, postąpił, według słów własnych, „jak przystoi temu, który wprzód się uczył być posłusznym, nim zaczął rozkazywać" — zamiaru porwania zaniechał, ale natychmiast z całą generalicyą podał się do dymisyi. Żadne perswazye stryja tego postanowienia przełamać nie zdołały: „Boże mnie uchowaj — wzdrygał się — ażebym kiedykolwiek miał nadużyć zaufania godnych ludzi, których los w moich ręku jest złożony". Na wyjezdnem wojsko pożegnało go i uczciło wręczeniem pięknego adresu zbiorowego, podpisanego przez ośmiu generałów z Kościuszką na czele, adjutantów, oficerów, przez wszystkie komendy, conajmniej po jednym sztabsoficerze, oficerze i szeregowcu z każdej brygady i każdej

jednostki korpusowej, okrytego przeszło setką podpisów wszelkiego stopnia, co najdzielniejszych wówczas przedstawicieli broni polskiej.

W Warszawie bawił krótko. Jego śmiała, nieprzejednana postawa drażniła króla i do wściekłości doprowadzała targowiczan. Stanisław August kazał mu wyjechać z kraju, opatrzywszy jednak po ojcowsku na drogę. Znowu znalazł się w Wiedniu. Lecz i tu ścigała go nienawiść targowiczan. Wydali oni zakaz noszenia krzyża *virtuti militari*. Król zażądał od księcia, ażeby się do tego zastosował. Poniatowski odmówił. Rzuciły się na niego wszystkie psy reakcyi, zaczęto go szarpać, szkalować; prześladowanie doszło do nałożenia sekwestru na majątki, stanowiące jedyne utrzymanie jego matki i jego środki do życia. A zależność od łaski króla coraz boleśniejszą się stawała, gdyż ten posyłał synowcowi zasiłki, czerpane nieraz z funduszów mocarstw rozbiorowych i tłomaczył się, czemu oburącz trzyma się korony: „Muszę zapłacić długi moje i twoje, zapewnić byt twój i twojej siostry". Gdy tak mu król prawił o długach, starostwach, pensyach, książę odpowiadał z bólem, że to jest nieporozumienie, że nie w tem rzecz, i teraz „o to chodzi, aby się ratować z otchłani hańby". A skoro musiał uledz natarczywości króla w sprawie krzyża *virtuti militari* odesłał mu wraz z nim wszystkie inne ordery, które z łaski jego nie za zasługi otrzymał.

Z Wiednia przeniósł się wkrótce do Brukselli. Tu go doszły wieści o powstaniu Kościuszkowskiem, które postanowione, ułożone i urzeczywistnione zostało bez jego udziału. Ciężyła na nim klątwa pochodzenia i długo spychać go miała w cień. Niewtajemniczony w robotę, był zaskoczony przez wypadki i bez zwłoki puścił się w drogę do kraju. Pod Jędrzejowem przedstawił się Kościuszce z oświadczeniem, że chce „służyć prostym żołnierzem". Naczelnik ofiarował mu dowództwo, książę odmówił i wyruszył do Warszawy, gdzie go król wzywał. Tu znalazł się w opuszczeniu zupełnem. Nieufność kraju, która zaległa nad Zamkiem, objęła też i jego. Wszędzie spotykał się z oziębłością, często z otwartą nieprzyjaźnią. Jakże przygnębiająco musiały nań działać tragiczne sceny, na które wówczas patrzał: los Kossakowskich i Massalskich, dobrowolna śmierć prymasa, łzy żalu i przerażenie starego króla nad trupem brata. Trudy wojenne głuszyły ból. Prawie co dzień ucierał się z nieprzyjacielem. Ale nawet wobec złego wroga nie mógł się wyzbyć rycerskości: posyłając komendantowi Warszawy ośmiu aresztantów pruskich, prosi go, ażeby nie byli źle traktowani i jeśli można w kajdany nie okuci. Tak samo później, przy wejściu z francuzami do Moskwy, gdy z 30 tysiącznego korpusu polskich żołnierzy nie zostało mu nawet połowy, on, tym zbiedzonym, wygłodniałym nędzarzom, dziesiątkowanym przez choroby i niedostatek, pod karą śmierci zakazuje najdrobniejszego rabunku. A w takich razach, gdy szło o honor imienia polskiego umiał być bardzo surowy, pomimo wielkiej dobroci swego serca, i nie rozumiał pardonu.

Po ostatecznem rozbiciu wszystkiego ks. Poniatowski wrócił znów do życia prywatnego, sam rozbitek zupełniejszy niż kiedykolwiek. W głębokim smutku i rozterce wewnętrznej, śród intryg, knowań podziemnych i podstępnych ze wszech stron zamachów na czystość jego sumienia i duszy upłynąć miały długie lata najpiękniejszego okresu męskiego wieku. Tęsknotę za czynem, za życiem bohaterskiem i służbą krajowi głuszyć miały uciechy puste, zgiełk życia płytkiego z dnia na dzień.

Z tego snu na jawie, z tej martwoty zimowej wyrwały go dopiero grzmoty dział napoleońskich, rozlegające się w pobliżu. I znów niechęć uprzedzenia, znowu zawiść ludzka podniosły się przeciw niemu. Lecz Poniatowski nie dał się im zmódz, usunąć z drogi swego przeznaczenia; cierpiał, znosił niesprawiedliwości, lecz oddany niestrudzonej pracy dla ojczyzny wytrwał do końca. Aż przyszedł Raszyn, zwycięska wyprawa do Galicyi, odebranie Krakowa, a za niemi tryumfalny powrót miłości i zaufania narodu. Przyszłość jego spoczywała jednak na wulkanie. „Wiem, że odbudowanie Polski ustaliłoby równowagę w Europie — mówił Napoleon — ale tej równowagi nie można przywrócić bez wojny z Rosyą". A kiedy wojna wybuchła, jej ognie strawiły jego losy i Polski istnienie. Z 50-ciotysiącznej armii polskiej powróciło do kraju paruset wynędzniałych niedobitków z artyleryą i wszystkimi sztandarami.

Zaczęły się dni kuszenia. Na wszystkie sposoby próbowano jeszcze teraz odciągnąć księcia Józefa od Napoleona, zachwiać jego poczuciem obowiązku. Nie uległ. Widzimy go znowu na czele pośpiesznie zgromadzone-

go żołnierza idącego na ostatni bój w obronie beznadziejnej placówki czci i honoru polskiego. „Jego piękna i wysoka a dotychczas nieraz chwiejna i pospolitująca się dusza — pisze Askenazy — już w tym punkcie, dochodząc swego szczytu i kresu, oczyszczona od wszelakich lichszych przymieszek, jak gdyby skoncentrowana, sklarowana pod ogromnem ciśnieniem dziejowem, sprowadzona do najprostszego, rdzennego swego pierwiastka, doszła tem samem do zupełnego utożsamienia się z pierwiastkiem rzeczy publicznej. I dlatego to właśnie w tym instynktowym odruchu woli był nietylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była też prawda, była mądrość, był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego. Rycerz bez skazy stawał się w tej chwili najpierwszym obywatelem, który z powszechnej ruiny siły materyalnej wynosił ocaloną siłę moralną, tę koniec końcem najwalniejszą, najrealniejszą potęgę... I stało się, że nietyle trzeźwa rachuba statystów polskich, ile całopalne postanowienie wodza polskiego rzuciło realną podwalinę pod Królestwo Kongresowe“.

A pamięć kochającego ludu umieściła jego wspomnienie w swojem „Świętem świętych“, śród wybranych duchów i urn, przechowujących iskrę z popiołów powstać mającego ognia. *J. C.*

NOWE KSIĄŻKI.

Maciej Wierzbiński: O a z a m i ł o ś c i, powieść z życia komunistów.

Stanisław Przybyszewski: W y z w o l e n i e, Ś w i ę t y g a j „Mocnego człowieka“ część II i III.

Co to jest ta Oaza miłości? gdzież to cudowne ustronie ciepła, światła i życia? M. Wierzbiński wodzi swych czytelników po manowcach fantastyczności, gdzie rzeczywistość na wyścigi z wyobraźnią wywraca koziołki. Tym razem zaprowadził nas do jakiegoś sielskiego zakątka, a choć wynalazł go w Anglii, dał nam obraz najczystszej idylli, przeszczepionej z tołstojowskiej kolonii na jakimkolwiek mniej kulturą i cywilizacyą przerobionym punkcie ziemskiego globu. Lecz mniejsza o ten anachronizm. Oazy miłości nie można stworzyć, oczywiści, śród zwykłych warunków snobizmem zatrutego życia, skąd wszystko miłość wypłasza, gdzie często sponiewierana, upokorzona i wyśmiana kryć się musi umęczona i wylękła; autor dał jej też wdzięczniejszą oprawę: w ramach życia, które, uciekłszy od wszelkiej sztuczności, zapragnęło ułożyć się na „łonie natury“. Z różnych krańców Europy spędził do jednej chaty pod starym wiatrakiem gromadkę osób, które, żyjąc przeważnie sentencyami bardzo wzniosłej miary, karmią się tem, co im dobrzy ludzie znieść zechcą. Nie z próżniactwa zresztą wybrali sobie taki żebraczy tryb życia, gdyż niektórzy z nich pracują nawet bardzo ciężko, lecz bezinteresownie — z miłości a nie dla pieniędzy, których dotknąć się brzydzą. Nie uznają przy tem żadnych form życia społecznego, odrzucają wszystkie jego nakazy, wszystkie regulatory i hamulce; gdyż każdy człowiek sam sobie ma być władzą i prawodawcą; każdy sam musi sobie znaleźć drogę do zbawienia. Nie trudno wobec tego zrozumieć, jak ciekawem i drwiącem okiem patrzy na tych przedziwnych dziwaków otoczenie praktycznych, zdrowym egoizmem przepojonych wyspiarzy. Nieszkodliwi są, przeciwnie, jako apostołowie, miłości czyhają tylko na to, żeby każdemu coś dobrego zrobić; więc tolerują ich sąsiedzi, uprzejmie wysłuchują nudnych kazań, pozwalają wykładać sobie nową ewangelię miłości, znoszą cierpliwie poczciwe wścibstwo w cudze sprawy, lubią ich nawet, ale śmieją się w kułak z ich zapału, niezdarności życiowej, bosych nóg i przyskąpego ubrania. W Anglii nawet prosty żebrak uważa za ubliżenie swej godności ukazać się bez obuwia na gościńcu, nawet byle doncynella w przejściu z jednego podwórka na drugie nadziewa kapelusz, a tu panny i panowie — niektórzy rodowo i monetarnie wysoko ustosunkowani—snują się po drogach w waryackim przyodziewku napół dzieci natury.—No, niechby naprawdę zachciało się komu tak poparadować, zobaczylibyśmy, jak prędko synowie wolnego Albionu nauczyliby go poszanowania przyzwoitości publicznej.

W to grono cudaków, brzydzących się mięsem i pieniędzmi, wpada dżentleman, niegardzący pierwszem i mający sporo drugich. Z wiatrem, gnającym go po świecie, wnosi, tchnienie mocnego, zdobywczego życia, które z miejsca zawichrza spokojne wody idealnego jeziorka. Rozpalają się ognie miłości, ale nie tej, co każe kochać bliźniego jak siebie same-

go, lecz tej drugiej, rozniecającej pożary głównie na korzyść jednego lub co najwyżej dwojga, a zawistnej chciwej i o sobie tylko myślącej. Wkrótce w tem świętem gronie nawet najświętsi przekonywają się o sile, smaku i powabie rzeczy ziemskich. Tę świadomość przychodzi im życiem opłacić, a zbrodnią zadokumentować niezłomną moc praw i rzeczy ludzkich. Reszta, oczywiście kończy się jak najlepiej: Numa wychodzi za Pompiliusza i cnota zostaje nagrodzona; bo kazano jej umrzeć tylko dlatego, ażeby zbrodnia nie została ukarana i nie była wykryta — a to musiało niewątpliwie sprawić jej przyjemność.

Co innego u Przybyszewskiego. Tu przez dwa tomy — o trzecim a właściwie pierwszym pisaliśmy już dawniej — towarzyszy nam korowód złych duchów, urządzających sabat nad własnem życiem. Szatanami są tu wszyscy, zarówno mężczyźni jak kobiety. Zbrodnia ma dla nich ten aromat cudowności i uroku, w jakie najgenialsza pomysłowość ludzka nie umie przyodziać cnoty — robi ich interesującymi. Źli ludzie są zawsze ciekawsi niż dobrzy, dlatego może łatwiej znajdują naśladowców i wielbicieli. Przybyszewski zdaje się w nich lubować. Jego mocny człowiek to taki właśnie zbrodzień, wirtuozujący przez trzy tomy, który kłamie, oszukuje, zabija, nie tracąc fantazyi i nie dając się stropić byle czem; który dokoła siebie gromadzi takich-że niezłomnych jak sam towarzyszów i towarzyszki, aż wpada w pułapkę, którą mu miłość zastawia i ginie najmarniej w chwili, kiedy zaczyna myśleć o poprawie. Miłość więc ma być warunkiem odrodzenia człowieka, choćby najbardziej upadłego. Ale nim miłość przyjdzie, ażeby zbawić, zbrodnia tak spęta i osnuje, że tylko śmierć chyba z jej szponów wydobyć zdoła. I rzeczywiście, taki też zawsze koniec wielkich zbrodniarzy. Moc ich i twórczość poza sferę zła wydostać się nie może, w świetle dobra i czystości kaleczeje, chroma i rozsypuje się na popiół jałowych pragnień i nieudolnych pomysłów. Tęgi gracz przeistacza się w słabego bąkałę, który nie potrafi złożyć porządnie dwa a dwa. To intuicyjnie pojął i znakomicie uwydatnił w powyższych powieściach Przybyszewski.

Talent jego znabożniał i wybielał, ale zawsze jeszcze najchętniej operuje w świecie dyabłów i dyablic, istot zagadkowych, czy zwyrodniałych, którym zadużo pozwala pić alkoholu i używać wszelkich podniet niezdrowych. U niego wszyscy żyją, jak gdyby stale mieszkali w kabaracie, a na świat wychodzili tylko od przypadku.

Dlatego, co robią i mówią, roznosi zdaleka woń tytoniu i dymiących kinkietów — czadem zatruwa mózg i na gwałt potrzebuje przewietrzenia.

Zdrowiej byłoby unikać takiego pokarmu. Nie nasz on, i nie z nas wzięty.

Eugeniusz Starczewski: Sprawa polska wydanie drugie, (skrócone) str. 326, Warszawa 1913 Gebethner i Wolff.

Artur Gruszecki: Kandydat, powieść, str. 340 Warszawa, nakład Kasy przezorności i pomocy warsz. pomocników księgarskich. Gebethner i Wolff.

Adam Krechowiecki: Szary Wilk powieść, t. II wydawnictwa „Ciekawe powieści", str. 160, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Antonina Domańska: Trzaska i zbroja, opowieść z czasów Kazimierza Wielkiego, odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Gazety Świątecznej, str. 83, Lwów 1913, Macierz polska.

Mamert Vandalli: Z życia pisarza gminnego, str. 54, Łomża 1913.

Peer: Z małego zdrojowiska, str. 69, Warszawa, Gebethner i Wolff.

O kasy chorych.

Prezydyum Robotniczej Komisyi Ubezpieczeniowej ogłosiło niedawno list, wzywający przemysłowców do uznania opracowanego przez Komisyę projektu ustawy Kas chorych. Liczba istniejących obecnie, zorganizowanych tych instytucyj w Królestwie polskiem wynosi 31 i obejmuje z górą 20 tysięcy robotników.

Prawo państwowe z dnia 12 lipca 1912 r. dąży do stworzenia jednolitej na całym obszarze państwa sieci kas chorych i zawiera drobiazgowe przepisy ich organizacyi finansowej i administracyjnej. Przemysłowcy w odpowiedzi na wezwanie Robotniczej Komisyi Ubezpieczeniowej ogłosili komunikat, wykazujący, że żądania jej wykraczają po za ramy prawa.

A więc po pierwsze: urządzenie jednej ogólnej kasy warszawskiej zamiast przewidzianych przez prawo kas fabrycznych nie do urze-

czywistnienia w obecnej chwili ze względów czysto praktycznych: skazywałoby ją ono na wprowadzenie skomplikowanego ustroju biurokratycznego wraz z formalistyką biurową i kosztowną obsługą urzędniczą, co jest niepotrzebne w kasach mniejszych, gdzie ponad to przy uproszczonej manipulacyi istnieć może bezpośrednia łączność członków z zarządem kasy i większa dla tegoż łatwość świadczenia im usług. Mocniejsze podstawy finansowe jednej ogólnej kasy równoważy w zupełności przewidziane przez prawo regulowanie budżetu kas przez zebranie ogólne i możność tworzenia związków kas dla wzajemnej reasekuracyi swych zobowiązań.

Co do drugiego żądania oddania kasie organizacyi pomocy lekarskiej dla robotników przemysłowcy uznają w pewnym stopniu jego słuszność, nawet dogodność dla siebie, lecz jednocześnie niestosowność w tej chwili z powodu braku odpowiednio wyrobionych kierowników i pracowników. Co się zaś tyczy określenia ustawą stałych, najwyższych norm zapomóg i składek, to nietylko byłoby ono sprzeczne z prawem, przysługującem w tym względzie ogólnemu zebraniu, lecz i nieracyonalnem, gdyż znosiłoby możność uzgodnienia dochodów z wydatkami i układania budżetu. Protestują też przemysłowcy przeciw usunięciu ich od zarządu kasą przy jednoczesnem powiększeniu ciężarów, nakładanych na nich na rzecz kasy chorych, która jest instytucyą stworzoną dla niesienie pomocy, nie zaś prowadzenie walki klas; więc pracę w niej uważają oni za swój obowiązek społeczny. Wysokość ich udziału w tej pracy zależna jest od wysokości składek, a ponieważ będą płacili $^2/_3$ części składek robotniczych, ponosząc niezależnie od tego koszty leczenia chorych robotników, więc na walnem zebraniu mają posiadać $^2/_5$ ogólnej ilości głosów. W Niemczech i Austryi przemysłowcy płacą tylko połowę składek robotniczych i nic więcej ponad to. Koszta leczenia chorych nie obowiązują ich zupełnie. Nakładanie przez komisyę robotniczą nowych na nich ciężarów uważają oni za całkiem niezgodne z prawem, które przecież wyraźnie określa ich obowiązki. Świadczenia ponad to, czego ono od nich wymaga, nie wyrzekają się, jak tego już w przeszłości dali dowody, ale zastrzegają się przed przymusem, któryby miał krępować ich dobrą wolę.

GŁOSY.

Udział grona panów poznańskich w obiedzie dworskim znalazł apologetów, wkładających na głowy lokajów politycznych męczeńską koronę. Miły ten obrazek znamy co najmniej od stu kilkudziesięciu lat. Pamiętamy, jak przy końcu XVIII w. tacy bohaterowie skwapliwie spieszyli na każde zawołanie, nawet z niższego miejsca, do stołu, rozmaitych „ambasadorów“, jak tłomaczyli się, że czynią to tylko z ofiary, jak pismaki sławili tych „męczeńskich synów ojczyzny“. Na wszystko to patrzyliśmy z bólem, z ironią lub rozpaczą.

Ponieważ zaś pobudki tych szlachetnych „poświęceń“ dotąd istnieją i działają, więc nie ma żadnej racyi, ażeby od czasu do czasu nie zmartwychwstawały widoki przeszłości. Od początku świata byli i są ludzie, pragnący świecić blaskiem padającym z góry, a jeżeli ci ludzie jeszcze drżą o swe majątki, z których mogliby być wywłaszczeni, to doprawdy chyba mają dostateczny powód do jedzenia obiadów dworskich z „rezygnacyą“. A jak dawniej, tak i teraz nie byłoby żadnego o to sporu, gdyby szanowni męczennicy i ich obrońcy nie chcieli nas przekonać, że pluskają się w błotku „dla dobra oiczyzny“.

Gazety żydowsko-rosyjskie przysyłają do Warszawy swych spółpracowników (żydów), dla przeprowadzenia wywiadów z osobistościami bardziej znanemi. Naturalnie, są oni zawsze zdumieni i zgorszeni, gdy usłyszą, że polacy nie chcą mieć Judeo-Polski. Po jakich liniach posuwają się myśli tych panów, przekonywa sprawozdawca wywiadów w D n i u petersburskim. Opisując swoją rozmowę z panem Dmowskim, który oświadczył się za powstrzymaniem napływu żydowskiego, przytacza następującą swoją uwagę: „Lecz w takim razie dlaczego jesteście niezadowoleni z rządu rosyjskiego, który stosuje też same (!?) metody walki, jakich używacie przeciwko żydom i bierze wam za złe literalnie to samo (!?), co wy bierzecie za złe żydom?“. Dlaczego p. Dmowski „nie odpowiedział na to (bezczelne) pytanie“, nie wiemy, ale widzimy, że spółpracownik D n i a już nie odróżnia Polski od Palestyny. Naród polski ma takie same prawa do bytu i rozwoju w tym kraju, jak naród żydowski. Powiedziano jasno. I te szczury wędrowne wychodzące z nor naszego domu, ażeby nas z nie-

go wygryźć, żądają, ażebyśmy ich lubili i szanowali!...

(Dodać należy, że p. Dmowski zaprzecza w swej Gazecie, ażeby mu zadano powyższe pytanie i twierdzi, że reporter wogóle sfałszował jego wynurzenia, ażeby jako główne źródło antisemityzmu wskazać nie szkodliwość kulturalną żydów, lecz ich działalność rusyfikacyjną. To ich zaleca rządowi).

Na byłego posła do Dumy, włościanina Manterysa, chuligania klerykalna urządziła nikczemny napad. Gazeta poranna — 2 grosze, która jest zawsze gotowa do usług i obrony takich rycerzy, powiada: „Nikogo z nas nie zdziwiło, że Manterysa poturbowano". Trzeba przyznać, że pałkowicze dobrze się rozumieją i są szczerzy.

Czesław Xawery Jankowski przedstawił w Dniu cząstkę zepsucia, pożerającego Warszawę.

Kiedy w mieszkaniach prywatnych dawno już pogasną lampy — wówczas na główną tętnicę Warszawy wypełzają jakieś chyłkiem przekradające się figury, o złych, zmiętych, wyszarzanych twarzach. Przenikliwe oczy latają od przechodnia do przechodnia — bezczelnie i świdrująco. To „opiekunowie" tych, w szeleszczących halkach i lakierach...

Z za ciemnego załamu Nowogrodzkiej słychać jakiś stłumiony skamlot i chlipanie.

— Nie bij! Czego chcesz? nie bij!

I głuchy odgłos pięści, co wali w ludzką twarz. Moment ciszy i naraz ten sam zachrypły głos pieje dzikim wrzaskiem na całą ulicę.

— Nie bij, cholero!

A z rogu, gdzie stoi gromadka, strojna w tani welwet i olbrzymie z koguciemi piórami kapelusze, wyrywa się, jak siekanie biczem, śmiech: ha! ha! ha!... i leci przez ciche ulice. Od gromadki odrywa się jedna i druga postać, i podsuwa do jakiegoś spóźnionego przechodnia.

— Może razem...

I cichy szept z zachrypniętego gardła. Napastowany umyka. Jakieś grube, czerwone, w tanich rękawiczkach ręce zaczynają się czepiać rękawów, palta.

Wreszcie ktoś zniecierpliwiony rzuca:

— Odejdź! — bo policyę!...

— Policya? — Ha! ha! drań, łobuz — policyę!

I gruby, przepity śmiech z stekiem słów cuchnących, jak gnijące ścierwo, leci za człowiekiem, co umyka po pustej ulicy.

Tak wszędzie, tak na każdym kroku. Na rogu Widok rząd pustych dorożek z podniesionemi, mimo gwiaździstej nocy, budami. Tak lepiej... Z ciemnych wnętrzy drynd dolatuje gwar, śmiech i okrzyki. Bagatelka!... to tylko mała libacya, zaprzyjaźnionego bractwa. Z mrocznego wnętrza budy wyskakuje jedna i druga postać, za nią trzecia i czwarta. Bucha od nich odorem wódki i jakichś ochłapów jedzenia. Jaskrawe kapelusze, parasolki, biczyska i czapki zaczynają kotłować się, związywać w jeden wał, odskakiwać i znów czepiać garściami za twarze i ubrania.

Wreszcie od tego wału ludzkiego odrywa się w potarganem ubraniu kobieta, łapie za twarz i umyka w ciemną szyję ulicy. Rym! — i głuchy stukot ciała, co wali się na bruk. Z pod zgniecionego kapelusza wyziera twarz z krwawą rychą od ust do ucha.

Chwilka, wszystko milknie i tylko na brzegu rynsztoka siedzi młoda dziewczyna i kapie krwią z rozwalonej twarzy.

Od Alei Jerozolimskich wysuwa się para młodych chłopców. Oczy rozgorzałe — twarze podniecone — kołnierzyki uczniowskich szynelów postawione do góry. Idą chyłkiem, pod ścianą ciemnych domów. Oto już jest przy nich jedna, druga, trzecia i piąta. Cały sztab — bo to pewniak!

— Duduś! — chodź!...

I ręce suwają się pieszczotliwie, aż po pachy kortowych mundurków. Nozdrza łapią zapach odurzających, podniecających perfumów; głos przechodzi w szept, postacie chylą się coraz bardziej, coraz bliżej ku sobie, aż przystają pod bramą domu. Długi, ostry, przenikliwy warkot dzwonka, ciężka, okuta w secesyę furtka uchyla się i — po chwili zatrzaskuje głucho za tragedyą młodej duszy chłopca...

Marszałkowską od rogu Próżnej, po samą Piękną snują się pojedyńczo, grupami postacie w strojnych kapeluszach, ażurowych sukniach i lśniących lakierach. To jest ich królestwo! Zmęczone chodzeniem siadają na schodkach sklepów, stają na rogach i, paląc tanie papierosy, czyhają na żer.

Idzie. Jakieś towarzystwo: dwie panie i dwóch mężczyzn, ale to nic! Od gromadki odrywa się jedna taka, co to leci „na zbity łeb", a jeszcze jak „wstawiona" to rżnie na całego! Będzie heca!

Zaczepieni nie reagują, tylko przyspieszają kroku. Nie idą, ale już biegną w kłus. A tuż krok w krok posuwa się pijaniuteńka lokatorka ze Wspólnej i chrypi przepitym głosem jakąś ohydną, bezwstydną piosenkę. Wreszcie zatacza się raz i drugi i woła:

— Panie ładny puść pan te damy do luftu! No, ty frajer!

Wówczas mężczyźni reagują energicznie, pogarszając sytuacyę do niemożliwości. Spada na nich grad obelg, wyzwisk, ohydy ludzkich słów. Do wtóru przyłącza się jedna i druga spółtowarzyszka „pokrzywdzonej". Towarzystwo dopada do dorożki.

— Na Piękną! — rzuca mężczyzna.

— Rubelka! — odpowiada flegmatycznie dorożkarz. On wie, o co chodzi. Inaczej nie ruszy szkapą — bo nie od dziś stoi na Marszałkowskiej. Ho, ho!...

— Jedź! Drynda rusza, a wślad za nią tłuką się słowa — z piekła warszawskiej nocy.

„Towarzystwo" nawraca do Alei Jerozolimskich. Po drodze spotyka siwego pana i dwie młode panienki. Ktoś, z zapóźnionej wizyty, czy imienin... Nie zaczepiają, ale idą trop w trop i bluzgają słowami, jak błotem. Dziewczęta są blizkie płaczu — pan zna Warszawę — więc odstaje parę kroków i prosi. — Odejdźcie!

— Mańka! Dziadzio prosi! Hi, hi!...

I głośna propozycya, która odbija się o uszy młodych dziewcząt, plugawa, ordynarna, cuchnąca.

Wreszcie świt... Zmęczone, o szmince i różu twarze

patrzą apatycznie podsiniałemi oczodołami... Zasiniałe usta drżą z chłodu i postacie w ażurach nikną w czeluściach domów...

. . . . , ...

Powie ktoś: literatura! Nie — to życie! to fakty, nietylko z jednej Marszałkowskiej, ale z całej Warszawy: z Krakowskiego, Nowego Światu, Chmielnej, Złotej, Zielnej, Kruczej, Żórawiej i t. d. To — 40 tys. reglamentowanych prostytutek! I nie chodzi już o zniesienie, o starcie z ulic Warszawy tego ludzkiego wstydu, nieszczęścia i ohydy, ale o to, by o 10-ej czy 11-ej wiecz., o 1-szej i 2-ej można przejść, można — jeśli zajdzie potrzeba — przeprowadzić córkę, syna, siostrę i żonę. O to, by serce milionowego miasta, nie stawało się sercem rozpasania, ohydy, zbrodni moralnej i cielesnej

O to, byśmy nie byli wyjątkiem ze wszystkich miast Europy. Na razie, tylko o to, narazie tylko tego Warszawa chce od lat całych — bezskutecznie!

Co tu dodać do tego patetycznego westchnienia, którem autor kończy swój obrazek z państwa ciemności i bezwstydu?

Chyba radę: Panowie, czcigodni ojcowie skromnych córek, wstydliwie żyjących synków, cnotliwi mężowie i bracia nieskazitelnych żon i sióstr, wprowadźcie czystość do waszych obyczajów, urządźcie bojkot prostytucyi, a ulice Warszawy o każdej porze dnia i nocy staną się, jako ogrody niewinności, usiane liliami. Kruki i wrony sprowadza tylko daleko rozchodzący się zapach padliny. Na czystych polach nie zlatują się żerować.

Petersburskija Wied., poświęcając uwagę stosunkom pomiędzy polakami a rosyanami, piszą:

Nie bacząc na powszechny bojkot żydów w Polsce, polak prędzej poda dłoń temuż żydowi, niźli rosyaninowi, polak prędzej kupi w sklepie bojkotowanego żyda, niźli przemówi do niego po rosyjsku.

„Znamy język rosyjski... lecz rozmawiać w języku tym nie będziemy"... tak mówią oni pomiędzy sobą, rosyan zaś usiłują wprowadzić w błąd, wyjaśniając w najczystszej polszczyźnie, jakoby „nie rozumieją po rosyjsku".

Na gruncie tym często zachodzą sceny tragikomiczne, o ile rosyanin nie zgodzi się na sposób wojenno-parlamentarny — rozmowę w obu językach".

„Języka rosyjskiego polacy nienawidzą. Więcej nawet, żądając równouprawnienia cywilnego dla swego języka, nie chcą by język polski stał się obowiązkowym nabytkiem każdego rosyanina. Z drugiej strony nawet nawiasowo wypowiedziana myśl „dobrzeby było, gdyby w szkołach kraju Zachodniego wprowadzono nauczanie języka polskiego, tak jak i innych języków cudzoziemskich, dla wszystkich uczniów" — spotyka się z jakimś bojaźliwie namiętnym protestem: „nie, nie! poco?"

„W ten sposób z obu stron dokonywane jest niszczenie cudownego drzewa — języka. Polscy gimnaziści — wyrostki spotykają gwizdaniem nauczyciela, który w czasie rekreacyi zakazał rozmawiania po polsku. Rosyanie, ludzie dorośli, urządzający wieczory na cele dobroczynne, z zasady drukują afisze tylko po rosyjsku. Polacy z zasady nie dadzą swej ofiary, ponieważ anonse nie są przedzielone po połowie czarną linią — Rubikonem: z jednej strony którego umieszczone są słowa rosyjskie — z drugiej czernieją litery polskie".

„Wojna ukryta, wojna kulturalna — wygląda zewsząd. I dziś pieśń sokolska zakazana jest w Warszawie, lecz śpiewa ją pocichu każde dziecko polskie... Zabić języka polskiego nie można — jak nie można pozbawić drzewa części korzeni, nie uszkodziwszy samego drzewa, lecz zrobić próbę szczepienia można. Szczepienie to polega na nauczaniu rosyan języka polskiego. Instynktownie żarliwi polacy obawiają się tego... Psychika ich jest po części zrozumiała...

„Polacy przymusowo znają historyę naszą, nasz język, zachwycają się naszą literaturą, znają byt nasz—i w tem ich przewaga, w tem poczęści ich siła. Lecz co wiemy my, dzieci nasze, o życiu narodu — brata? O Dymitrze Samozwańcu i dość słabo o nomenklaturze rozbiorów Polski".

I przytaczając legendę skandynawską o kwiatach przebaczenie, rozkwitających w noc wigilijną, zapominają, że wszelkie życie wyrasta z miłości a nie ze zniszczenia i nienawiści.

KRONIKA POWSZECHNA.

W roku bieżącym mija 500 lat od zawarcia Unii Horodelskiej. Pisma przytoczyły treść zawartego wówczas traktatu polsko-litewskiego, którym obie strony ślubowały sobie wzajem zgodę, wiarę i jedność:

„Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość, gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobą świecąc, kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, użycza wszystkim pokoju, skupia co się rozpierzchło, podźwiga co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się gróźb niczyich. Dlatego też my wszyscy zebrani, — prałaci, rycerstwo, i szlachta Korony polskiej, chcąc spocząć pod puklerzem miłości i przejęci pobożnem dla niej uczuciem, złączyliśmy się i związali, a niniejszym dokumentem stwierdzamy, że łączymy nasze domy i rody, nasze rodziny i herby, ze wszystką szlachtą i bojarami litewskimi, tak, by odtąd i po wsze czasy mogli się posługiwać temi naszemi herbami i godłami, jakie posiadamy od naszych ojców i przodków, by ich używali, jako świadectwa prawdziwej miłości, tak jakgdyby je dziedzicznie po swoich własnych przodkach posiedli. Niechaj więc zjednoczą się z nami miłością i braterstwem i staną się nam równymi, jak już sama wspólność wiary, praw i przywilejów porównała ich z nami, i przyrzekamy im słowem czci i przysięgi, nie opuścić ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz owszem, stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, udzielać im rady przeciw wszelkim zamachom nieprzyjacielskim..., a wstawiać się najgoręcej do naszego miłościwego pana, Władysława, z woli Bożej króla polskiego, i najjaśniejszego Witołda, wielkiego księcia litewskiego, by jaknajobficiej i najszczodrzej obdarzali braci naszych litwinów coraz większą wolnością, łaskami i dobrodziejstwami. Co też i przezacni panowie, mieszkańcy ziem litewskich, pod przysięgą i słowem obowiązali się czynić dla nas nawzajem".

Ileż zmieniło się od owych czasów! Dzisiejsza Litwa protestuje wielkim głosem przeciw łączeniu jej losu z polskim i oskarża nas przed całym światem o nierzetelne wyzyskanie unii z nią.

— W r. b. polskie szkoły średnie w Warszawie i na prowincyi wypuściły ogółem 895 maturzystów, o 131 więcej niż w roku ubiegłym. Szkół tych było 66, z czego w samej Warszawie 21. W ciągu ostatnich lat dwu przybyło 8 nowych. Warszawskie szkoły męskie dały 464 maturzystów, w roku zeszłym 433; prowincyonalne—431, gdy cyfra poprzednia wynosi tylko 331. Obliczenie roku bieżącego obejmują tylko 13 zakładów warszawskich i 9 prowincyonalnych, z innych nie zdołano zebrać danych. Lecz i to, co otrzymano, świadczy o rozwoju szkoły polskiej.

— Stronnictwo ludowe w Galicyi powzięło szereg doniosłych postanowień w sprawie wychodźstwa Przedewszystkiem domaga się ono od rządu prawnego jej uregulowania i wniesienia do parlamentu projektu ustawy emigracyjnej; następnie protestuje przeciw stawianiu przeszkód wychodźcom i odmawianiu pasportu wszystkim mężczyznom w wieku od lat 18 do 36, jako ograniczenia wolności osobistej; dalej domaga się od rządu interwencyi w sprawie szykan, czynionych wychodźcom polskim w Rzeszy niemieckiej; wreszcie, oświadczając się w zasadzie przeciw emigracyi, gdyż ziemia polska jest dość obszerna, ażeby cały swój lud wyżywić, postanawia w tychże sprawach działać w porozumieniu z polskiem Towarzystwem Emigracyjnem, jako najbardziej kompetentnem.

— Jak trudna jest walka z analfabetyzmem z powodu braku szkół świadczy następujące zestawienie G ł o s u p ł o c k i e g o: Do dwuklasowej katolickiej szkoły męskiej ze 188 zgłaszających się przyjęto tylko 29. Do jednoklasowej katolickiej męskiej z 64 przyjęto 44. Do dwuklasowej katolickiej dla dziewcząt przyjęto 45, odmówiono przyjęcia 76. Do takiej-że jednoklasowej przyjęto 15, nie przyjęto 57. Do szkoły ewangelickiej jednoklasowej dla dziewcząt i chłopców zapisano 6, z niczem odesłano 28. Do dwuklasowej męskiej żydowskiej przyjęto 12, nie przyjęto 40. Do żydowskiej jednoklasowej i dwuklasowej dla dziewcząt przyjęto 72, odmówiono przyjęcie 58. Ogółem liczba dzieci nieprzyjętych w szkołach początkowych wynosi 438 — 340 chrześciańskich i 98 żydowskich.

— Podług statystyki urzędowej w skołach ludowych w Westfalii było w r. 1910 dzieci mówiących tylko po polsku 20,432, mówiących i po polsku i po niemiecku 22,657. W szkołach, dawniej czysto niemieckich, żywioł polski podniósł się w ciągu lat ostatnich.

— Na podstawie sprawozdań Towarzystw rolniczych stwierdzono rozmiary szkód jakie przyniosły rolnictwu w Galicyi tegoroczne wielokrotne klęski żywiołowe. Wskutek powtarzania się wylewów w pasach przybrzeżnych nie ocalały ani najwcześniejsze, ani najpóźniejsze ziemiopłody. Pasza zgniła, zboże nie da ziarna zdrowego nawet na zasiew, kartofle gniją i nie wystarczy ich ani na pożywienie ani na nasienie. Pola na wielkich przestrzeniach zostały zniszczone wskutek zerwania przez wodę warstwy urodzajnej lub naniesienia żwiru i szutru. Nawet w okolicach odwodnionych wody, nie znajdując ujścia, stoją dotąd na polach. Skutki tego stanu już dziś występują w redukcyi bydła i trzody, niewypłacalności dzierżawców zwiększeniu podaży ziemi na sprzedaż. Straty w plonach rolnych, pasiekach, komunikacyach, gruntach i domach dochodzą do ogólnej sumy 266 milionów koron.

— W październiku roku bieżącego upływa lat 40 od chwili wyjścia rozporządzenia usuwającego język polski ze szkół ludowych i średnich w Zaborze pruskim. Rugując go całkowicie z planu szkolnego, z nienawiści do niego usunięto też ze szkoły alfabet łaciński. Dziecko, ograniczone do wykładów szkolnych, nie umie ani czytać, ani pisać po polsku, a wciąż mnożące się ustawy wyjątkowe utrudniają nabycie tej nauki poza szkołą.

— Lud Macedonii, o którą właściwie bułgarzy wystąpili do walki z turkami, żyje dotychczas w stanie wielkiej pierwotności, jak świadczą opisy podróżników. Mieszka on w nizkich chałupkach, sklejonych z byle czego, oblepionych błotem, krytych słomą, gontami lub płytkami kamiennemi; drzwi bez zamków, zamyka drewniana „kobyłka". Okien prawie niema, zastępują je małe otwory zasłonięte deseczkami, otwieranemi i zamykanemi za pociągnięciem sznurka. Niema sufitu, ani podłogi; zamiast komina na środku izby ułożone jest ognisko, nad którem na żelaznym łańcuchu wisi kociołek i przy którem gotuje się strawę i piecze chleb. Ten ostatni w glinianych formach z pokrywą. Żywią się głównie ryżem. Mięso jadają rzadko, czasami kapustę i fasolę. Świń chowają mało. Najchętniej jadają, mleko bawole gęste i tłuste i ser, Pieczywo tj. chleb i kołacze wyrabiają bardzo smaczne. Pościeli nie znają. Sypiają nierozebrani na ziemi lub rogożach dookoła ogniska. Pod jednym dachem, często w tej samej izbie, mieszka z nimi inwentarz. Drzewa owocowe i winnice spotyka się rzadko, choć mają dość wina, które przyrządzają gęste i słodkie jak powidła.

— Pomimo ciężkich warunków ekonomicznych w r. 1912, „Związek spółek zarobkowych" w zaborze pruskim wystawia dobre świadectwo gospodarcze społeczeństwu polskiemu w tej dzielnicy. Wprawdzie przyrost kapitałów w tych spółkach nie dorównywa przyrostowi z lat dawniejszych (25 do 30 mil marek), dorobek jednak nie cofa się, lecz wykazuje blizko 20 mil. marek Wzrosła też liczba spółek z 279 do 289 i liczba członków o 7,240, dając ogółem 141,491. Związek nie obejmuje Górnego Śląsku, który posiada swoje własne instytucye kredytowe. Z należących do niego spółek największe straty notują u „Rolników", prowadzących handel płodami rolniczymi, narzędziami i nawozami sztucznymi. Dochodzą one do 113,795 marek w 56 spółkach; skutkiem czego fakt ten prasa polska w poznańskiem krytykuje ostro, żądając racyonalniejszej gospodarki w spółkach.

— Ekonomista niemiecki, Lövenstein, drogą kwestyonaryuszów, rozesłanych między robotników środowisk przemysłowych w różnych punktach Niemiec zebrał ciekawy i ogromny materyał nietylko ekonomiczny, lecz i społeczny. Świadczy on, że ogromna większość robotników w pracy znajduje tylko przykrość i niezadowolenie. Według obliczeń autora zatracają oni tu 55.5% swej energii fizycznej i duchowej. Analfabetów jest śród robotników mało, ale bardzo wielu po męczącej pracy nie tyka ani książki, ani gazety. Są jednak czytający nawet Kanta i Nietzschego. Wielu kocha malarstwo i lubi malować P. L. zebrał 4000 obrazów i szkiców, wykonanych przez robotników i urządził wystawę z nich w Berlinie. Kobiety robotnice okazały najmniej zrozumienia w tej sprawie. Zdaniem Lövensteina robotnica wogóle nie umie poważniej myśleć.

— Swojego czasu dzieci irlandzkie przesłały dziećiom wielkopolskim adres z wyrazami podziwu dla walki o język i zachęty do wytrwania. Inicyatorem adresu był znany poeta i działacz islandzki Shane Lestic, przyjaciel polaków. Obecnie staraniem Straży polskiej w Krakowie dzieci polskie przesłały odpowiedź na ten adres, zawartą w pięknym albumie i zakończoną tysiącami podpisów. „Odpowiadając za tych, którzy im odpowiedzieć nie mogą", dzieci szkolne Krakowa dziękują przyjaciołom swoim z Irlandyi za współczucie mętwu polskich dzieci. „Obyście nigdy nie przestali cieszyć się błogosławieństwem swobody używania mowy waszych ojców i bezpieczeństwa w posiadaniu ziemi, którą oni uprawiali w pocie czoła — oby wam nigdy dóbr tych nie wydarto, jak naszym ziomkom w Prusach".

— Podczas zlotu związku Sokołów w Poznaniu urządzono wystawę, na której obok zbiorów, ilustrujących życie i rozwój Sokolstwa na ziemiach polskich, prawdziwą sensacyę wywoływała tablica procesów i kar, dająca wymowny obraz stosunku władz niemieckich do Sokoła. Zawierała ona wykaz, dotyczący tylko 120 towarzystw sokolskich, gdy wszystkich jest obecnie 264. Z pośród nich 17 stawiano przeszkody przy zakładaniu, 54 zakazano gimnastyki, 36 publicznych występów gimnastycznych, 33 zebrań, 31 noszenia stroju i odznak sokolskich, w 9 wypadkach zabroniono udziału w pogrzebach, 65 tow. obłożono karami pieniężnemi do wysokości ogólnej 6300 marek, w 13 tow. policya skonfiskowała książki, w 25 wypadkach wtargnęła gwałtem na zebrania. A pomimo to, a może właśnie dlatego Związek się rozwija i liczy już obecnie około 12,000 członków, a gotówki w kasach ogółem 45,000 marek.

— Według nowych przepisów o szkołach początkowych dla obcoplemieńców, wykłady w pierwszych 2 klasach odbywać się mogą w języku ojczystym tylko wtedy, gdy dzieci nie mogą poradzić sobie z językiem rosyjskim. W dawniejszych przepisach z 1907 r, powiedziano wyraźnie,

że nauka w pierwszych dwu klasach ma być prowadzona w języku ojczystym.

— Od r. 1908 istnieją w Anglii osobne sądy dla dzieci — Children's Courts. Wykazy ich za rok 1910 podają ogólną sumę 4000 dochodzeń sądowych przeciw dzieciom w Londynie. Wobec 750,000 dzieci w stolicy Anglii stosunek ten nie jest wielki. 88% z tej liczby stanowiły oskarżenia o kradzież, reszta o bójki, okrucieństwa względem zwierząt, szkody na ulicy.

— W roku bieżącym odbył się w Glasgowie IX międzynarodowy kongres spółdzielczy. Na czele tego ruchu stoi obecnie Szkocya. Ona pierwsza wytworzyła spółki spożywcze i dziś posiada ich 286 z 430,598 członkami. Stowarzyszenia szkockie rozporządzają kapitałem obrotowym 280 mil. k. W r. 1912 ogół obrotu w spółkach wyniósł 600 mil. k. przyczem zysku było 70 mil k. Warszawski Związek obejmuje 178 stowarzyszeń spożywczych z 21,618 członkami. Jego obrót wyniósł 6,679,108 rb. W międzynarodowym Związku kooperatyw nie uwzględniono naszej odrębności — wtłoczono nas do państw zaborczych. Na kongres w Glasgowie Galicya nie wysłała swoich przedstawicieli.

— Uczony francuski Yves Guyot przedstawił w miesięczniku Journal des Economistes wzrost wydatków militarnych sześciu wielkich mocarstw trójprzymierza i trójporozumienia w ciągu ostatnich lat trzydziestu. W pierwszem dziesięcioleciu od 1883 do 1893 wyniósł on rocznie 53,9 mil. franków czyli ogółem 539 mil. fran., w następnym do 1907 r. 145,4 mil. fr. rocznie — ogółem 2 miliardy 36 mil.; od 1907 do 1912 dosięgnął 386 mil. fr. rocznie czyli 1 miliarda 930 mil. franków ogółem. Największa suma w ciągu tego czasu przypada na Niemcy, najmniejsza na Francyę i Włochy. W roku ubiegłym lądowe i morskie wydatki Anglii wyniosły razem 1,779 mil franków, Francyi — 1343 mil. fr., Rosyi 1,920 mil. fr., Niemców 1,648 mil. fr., Austryi 674, Włoch 469.

— Ruch polski na Górnym Sląsku stanął w położeniu niepokojącem dla sprawy unarodowienie tej prowincyi. Wybory do parlamentu w r. 1912 dały tu polakom stratę jednego mandatu i wykazały zmniejszenie się głosów polskich o 30 tysięcy. Z danych statystycznych za czas od 1905 do 1910 roku wnosić można gwałtowny upadek odsetek ludności polskiej wskutek dobrowolnego przechodzenia do obozu niemieckiego. Ci, którzy się wznoszą na wyższy stopień społeczny, w ogromnej większości odtrącają polskość i stają się niemcami. Jest to rezultatem wytężonej i planowej pracy rządu i społeczeństwa niemieckiego, której my przeciwstawiamy się bardzo słabo. Z każdą niemal chwilą rośnie liczba niemieckich instytucyj kulturalnych, które roztaczają opiekę swą i wpływ nad ludem Śląskim. Ogromne znaczenie w ruchu germanizacyjnym posiadają biblioteki ludowe stałe i wędrowne. Wydatki na te biblioteki wyniosły w jednym roku 1911 dwieście piędziesiąt sześć tysięcy marek, z czego rząd dał 144 tysiące, gminy 36 tys. wielki przemysł 44 tys. a zarządy powiatowe 8 tys. W r. 1912 istniało: 131 stałych bibliotek, 1031 wędrownych. Liczba książek dochodziła w nich do 315 tysięcy, czytelników, w przeważającej liczbie polaków — do 134 tysięcy. Nasze usiłowania wobec tej potęgi przedstawiają się bardzo słabo. W powiecie opolskim, jednym z lepiej zorganizowanych, czytelń polskich w 1911 r. liczono zaledwie 26, a niemieckich 120!

ZMARLI

Kazimierz Obrębowicz, inżynier i działacz społeczny.

DARY.

Na fermę rolniczą dla synów włościańskich w Bratnem.

N. N. 107 rb. 50 kop.
Ba. 50 rb.
J. Daniłowska 10 rb.
Antoni Michalski 5 rb.
A. Woj. 200 rb.
Z redakcyi „Prawdy" 10 rb.
J. Kolski 5 rb.

ADMINISTRACYA „Humanisty Polskiego"
mieści się przy drukarni K. Kowalewskiego, Piękna № 15,
Telef. 18-88, otwarta od g. 5—6.
Wszelkie listy, przesyłki i gazety adresować należy
do REDAKCYI, Wilcza 32. Telef. 115-35.

WARUNKI PRENUMERATY: 3 rb., z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu 3 rb. 30 k.
Numer pojedyńczy 30 kop.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.